№ 59. Wtorek, dnia 16 Listopada 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

Drук. Warszawski.

WARSZAWA
dnia 4 (16) Listopada
1875 roku.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy Wtorek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie kop. 38.
„ „ na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rs. 6; —
„ „ kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA
przy ulicy Mazowieckiej Nr. 1350
(nowy 11).

TRZEBA KOCHAĆ.

Gdyby wiarę ocucić zapadłą w uśpienie, —
Gdyby można nadzieję gasnącą rozbudzić, —
Gdyby miłość rozdmuchać w poświęceń pło-
[mienie,—
Jakżeby słodko było żywotem się trudzić!

Lecz chociaż stara wiara w młodych sercach
[kona—
Choć nadzieja przepada w zawodów kolei—
Choć miłość świętych rzeczy na pośmiech
[rzucona—
Trzeba kochać,—nie tracąc wiary i nadziei!

G. C.

NA MYLNEJ DRODZE,

POWIEŚĆ

W OBRAZKACH Z NASZEGO ŻYCIA,

przez

Krystynę Narbuttównę.

(Dalszy ciąg.— Patrz Numer 57).

Hiszpana, pewnego dnia przechadzając się razem po alejach Tuilleries, bardzo grzecznie poprosił ażeby mu pomógł wybrać bukiet dla narzeczonej, a przy tej zręczności zdumionemu don Alonzo zwierzył się, że już jest z Wandą po przyrzeczeniu. Hiszpan zakipiał i piorunującym wzrokiem przeszywając szczęśliwego rywala zapytał, czy wie o tem że i on kocha donnę Wandę; p. August z wielką flegmą gładząc faworyty odpowiedział: „wiem o tem" i sięgnąwszy do kieszeni po bilet wizytowy, bawił się z nim od niechcenia, dając do zrozumienia że w każdej chwili gotów go zamienić. Hiszpan odszedł, wściekły poprzysięgając skrycie krwawą zemstę i przez trzy dni pieścił się z tą myślą, gładząc nieustannie wyostrzony sztylet, który nosił w bocznej kieszeni rajtroka; nie przyszło jakoś wszakże do spełnienia morderczego zamiaru, pomimo że p. August jakby umyślnie nasuwał się ciągle na oczy mściwemu Hiszpanowi, który znać zmienił wszakże swoje krwi chciwe zamysły, bo pewnego poranku wyjechał do swej rodzinnej Andaluzyi.

Baron nie czekając żadnych wyjaśnień a ztąd nie zawsze może miłych następstw, sam dobrowolnie zniknął z horyzontu.

W parę miesięcy potem, kiedy słowo przyrzeczenia zostało dane, przepyszną wyprawę przygotowano, a p. August obyczajem francuzkim przysłał narzeczonej bogato i z gustem zaopatrzone *corbeille de noce*. Młoda para stanęła przed ołtarzem i w języku francuzkim przysięgła sobie uroczystą miłość i wiarę, których po polsku dotrzymywać miała. Państwo młodzi prosto od ołtarza wsiedli do podróżnej karety i ruszyli w nową wędrówkę po Europie, a senatorowa, spłakawszy się serdecznie po rozstaniu z synowicą, wróciła do Warszawy, gdzie miała oczekiwać powrotu skojarzonej pary.

Wanda na krótko przed ślubem, na nalegania senatorowej zdecydowała się nakoniec napisać do p. Gasztoldowej i Anny, ale wbrew swemu przewidywaniu w odpowiedzi ciotki nie otrzymała ani łokciowego listu, ani morałów. List p. Gasztoldowej był krótki ale serdeczny, i chociaż przebijało się w nim trochę żalu, nie było jednak ani goryczy ani wymówek, błogosławiła znać z serca, a na końcu było kilka słów serdecznych z zapewnieniem, że, czy to w złych czy w dobrych chwilach życia swego, Wanda może zawsze rachować na niezmiennie przychylne i współczujące dla siebie serca ich rodziny.

Wanda list po przeczytaniu rzuciła obojętnie z całego pisma najwięcej w jej myśli utkwiła wiadomość o pobraniu się Janusza i Anny, wieść ta nieprzyjemne na niej zrobiła wrażenie. Janusz się tak prędko ożenił, więc znać jej nie kochał, to ją ubodło, nie przypuszczała nigdy ażeby pierwsza miłość którą wzbudziła, mogła przeminąć tak łatwo. Było to podobno pierwsze upokorzenie jakiego doznawała na drodze tryumfalnego pochodu, ściągnąwszy więc brwi siedziała nieprzyjemnie zamyślona, ale na to wszedł p. August zawsze elegancki, zawsze dystyngowany i zaproponował przejażdżkę do bulońskiego parku,— i przykre wrażenie się zatarło.

Od wypadków poprzednio opowiedzianych upłynęło cztery lata; państwo Augustowie po kilkomiesięcznej poślubnej podróży wrócili do Warszawy i już stale tu zamieszkali, zająwszy całe pierwsze piętro własnego domu przy ulicy Senatorskiej.

Okazałe marmurowe, dywanem wysłane i kwiatami ostawione schody, prowadziły do wytwornego apartamentu urządzonego według wymagań komfortu i elegancyi.

Po schodach wchodził właśnie pan August wracający do domu, zawsze ten sam, trochę sztywny ale trzymający się elegancko i z szykiem. Na odgłos dzwonka silnie pociągniętego ręką pana domu, otworzył drzwi lokaj ubrany z reguł, w popielatej z niebieskiem liberyi, w kamaszach, białym krawacie i rękawiczkach.

— Czy pani jest w domu? zapytał p. August sługi otwierającego mu drzwi do dalszych pokoi.

— Jest, jaśnie panie, ale zajęta u siebie, odpowiedział zapytany.

Pan August przeszedł parę pokojów i zapukał z lekka do zamkniętych, pięknie rzeźbionych drzwi gabinetu.

— Wando, czy nie mógłbym teraz pomówić z tobą trochę, mam bardzo ważny interes w tej chwili na myśli.

— Przepraszam cię, mon cher, odpowiedziano z wewnątrz gabinetu, ale w żaden sposób służyć ci nie mogę, jestem niezmiernie w tej chwili zajęta. Pan August odszedł od drzwi, ale ścisnąwszy ramionami pomruknął z niechęcią:

— To dziwna rzecz, że też nigdy z nią jak się należy pomówić nie mogę, i zamyślony chodził długą chwilę po pokoju, spojrzał na zegarek i zadzwonił.

— Dla czego obiadu dotąd nie dają? zapytał służącego.

— Jeszcze nie gotowy, jaśnie panie.

— Jakto? nie gotowy o szóstej godzinie, a kiedyż ma być gotowy?

— Dwa razy już posyłałem, proszę jaśnie

pana, odpowiedział tłómacząc się sługa i wyszedł przynaglić jeszcze o pośpiech.

Pan August się zżymnął.

— A to coś strasznego, rzekł z najwyższem nieukontentowaniem, i to się nazywa, że się własny dom prowadzi; kosztu mnóstwo, a wygody żadnej, gorzej jak w hotelu się jest u siebie; — i p. August znowu chodził wzdłuż i wszerz po salonie i znowu zadzwonił.

— Niech mi tu Edzia przyprowadzą przynajmniej, powiedział wchodzącemu słudze.

— Bona z mamką wyszły z dziećmi na spacer zaraz po śniadaniu i dotąd jeszcze nie wróciły.

— Jakto, od dwunastéj do szóstéj! dotąd nie wróciły? w taki dzień chłodny, a to coś nowego! I pan August wychodząc ze zwykłéj swéj flegmy, podszedł śpiesznie do drzwi nieubłaganie dotąd zamkniętych i zaczął w nie stukać silniej.

— Wando, rzekł głośno, a wiesz że dzieci dotąd ze spaceru nie wróciły, wiatr jest niezmiernie chłodny, Wando!

Na powtórne jego wołanie drzwi gabinetu otworzyły się nareszcie, i ukazała się w progu Wanda zarumieniona z niecierpliwości.

— A to przechodzi wszelkie wyobrażenie jaki ty jesteś niedelikatny Auguście, mówiła wyraźnie zapérzona, ażeby dla byle jakiej drobnostki przerywać mi pracę.

— Ależ tu wcale nie o drobnostkę chodzi, dzieci od sześciu godzin są na takiem chłodnem powietrzu, nie wiesz zapewne że dotąd nie wróciły.

— Więc cóż z tego że nie wróciły, cóż ja na to zrobić mogę?

— Ależ trzeba posłać po nie, jakże tak zostawić można.

— Nie rozumiem, po co się koniecznie do mnie z tem odwołujesz? powiedziała Wanda z wymówką; jeżeli uważasz że potrzeba posłać, należało samemu już to zrobić, vous êtes donc le père.

(*D. c. n.*)

ZDOBYCIE GRENADY.

Opowiadanie historyczne.

(Ciąg dalszy.)

IX.

Wielki okrzyk radości wyrwał się z piersi tysiąca, jeden z sędziów podprowadził do Alfaimy trzech nieznajomych, i oznajmił jej że jest od wszelkich zarzutów uwolnioną; a rycerze oddawszy jej znowu głęboki pokłon, za całą nagrodę żądali tylko dozwolenia opuszczenia natychmiast Grenady. Oddalili się więc spokojnie, podczas gdy Alfaima w tryumfie do Alhambry odniesioną została. Tajemnica ich jednak nie długo zachowaną być mogła; sama Alfaima zataić nie była w stanie nazwiska swych zbawców—a rozgłos tego bohaterskiego czynu, większym jeszcze urokiem otoczył rycerstwo chrześciańskie, a większą trwogę wzniecił między Maurami.

Jednakże Abdallah nie podzielał ogólnéj radości z uniewinnienia swej małżonki. Odtąd jej widok był mu tylko ciągłym wyrzutem jego srogości i okrucieństwa; to też zapragnął pozbyć się jej—trucizną; lecz Alfaima uprzedzona, zdołała uciec z Alhambry, i z licznym orszakiem domowników schroniła się do obozu chrześcian, pod opiekę królowéj Izabeli, która ją jak siostrę przyjęła, i wkrótce do przejścia na wiarę Chrystusową skłoniła.

To odstępstwo Alfaimy i licznych jej stronników, do reszty nędznego Abdallaha przygnębiło; w tej więc ostateczności, zawezwał Mussę-ben-Gazana, na którego wierność liczyć zawsze mógł, choć tenże mu nieraz mówił prawdę.

— I cóż chcesz, panie, abym ci, powiedział—odrzekł Mussa na skargi emira—zapóźno poznałeś skutki złego panowania. Serce twych poddanych odwróciło się od ciebie, a ja ci nic dać nie mogę oprócz życia mego, które na stwierdzenie wierności méj, chętnie ojczyźnie poświęcę. Jednak, są jeszcze w Grenadzie serca które wiernemi praojców wierze zostały, do nich przemówię—a jeżeli nam Allah nie da zwycięztwa, to nam przynajmniej śmierć chlubną zgotuje.

Dotrzymał słowa szlachetny wojownik. Dwadzieścia tysięcy Maurów ognistemi słowy jego pobudzonych, do broni się rzuciło, i pod jego dowództwem postanowiono ostateczną wyprawę na obóz chrześciański uczynić, i w niej albo zwyciężyć, albo zginąć.

Wieść o wycieczce Maurów, których szyki zbrojne już za bramami miasta formować się zaczęły, wielką radość w obozie chrześciańskim obudziła. Długo trwające oblężenie nużyć już zaczynało chciwych bitwy rycerzy, to też z głośnemi okrzykami przyjęli hasło boju, i w jednéj chwili wojsko całe stanęło w gotowości do odparcia nacierających już na nich Maurów. Bitwa z równą zawziętością z jednéj jak i z drugiej strony prowadzona, trwała godzin kilka, w czasie których waleczność Maurów, z rozpaczą w sercu broniących ostatniego kątka ziemi przez praojców zdobytéj, do heroizmu dochodziła; lecz napróżno! Ostatnia godzina potęgi arabskiej w Hiszpanii już wybiła, i żadna moc zagłady jej oddalić nie była w stanie.

Mussa-ben-Gazan widząc przerzedzające się szeregi swych braci, przykładem i słowami zagrzewał i podniecał ustające ich siły; i zdawało się nawet przez chwilę że szala zwycięztwa na ich się stronę przeważać zaczyna; gdy Ponce de Léon szczęśliwym obrotem swego hufca okrążywszy nieprzyjacielskie szyki, zajął im tyły. Wtedy wszelka już nadzieja zginęła. Z dwóch stron oskoczeni Maurowie, padali pod ciosami chrześciańskich rycerzy, jak kłosy kosą scinane, i wkrótce ostatki ich broń rzuciły, lub ratowały się ucieczką, a Mussa rzuciwszy się sam jeden na nacierający nań świeży hufiec rycerzy, zginął śmiercią bohaterską.

Tak opowiada tę ostatnią bitwę, która zaszła dnia 20 listopada 1491 roku, kronikarz Don Antonio de Agapida, mnich benedyktyński; inaczéj trochę rzecz tę przedsta-

U OGNISKA.

VII.

Od odgłosów koncertowéj muzyki drżą ściany wszystkich „resurs" naszego miasta; a nawet i piękna sala ratuszowa, wysłuchać musiała olbrzymiego, wokalno-instrumentalno-deklamacyjnego programmu, ze względu na potrzeby pożytecznych a chromających obecnie Tanich Kuchen, o których na początku mówiono dużo, rozprawiano jeszcze więcej, a bawiono się w nich wiel ce... w dyżury, dopóki te były „en vogue". Dziś piękne damy i grzeczni *cavalieri serventi*, towarzyszący im, ani chcą wiedzieć i słyszeć *o rozdawaniu strawy* ubogim, a ubodzy straciwszy z przed oczu *aniołów opiekuńczych* (bo każda kobieta jest obrazem serafina, gdy seraficznie miłosierdziem się trudni) nie chcą przychodzić do tanich jadłodajni; — ztąd deficyt, lamenty i nakoniec... koncert amatorski. Publiczność rozognionа chwilowo dziennikarskiemi podszeptami, spieszy do *ratusza*, znacznym, przyniesionym przez się dochodem łata dziurę wykazaną w budżecie przez zarząd i wyszedłszy zapomina o instytucyi. Nazajutrz krytyka, urobione przez reklamę reputacye, strąca z piedestału, po jutrze *strącone* składają w „Kuryerze Warszawskim" dowody, że są *gwiazdami* artystycznego firmamentu. Publiczność w *poobiedniej* drzemce marzy szczęśliwie iż zadość uczyniła filantropijnym potrzebom *tanich obiadów*, a tymczasem ci nieznośni dziennikarze, widzący wszystko przez powiększające okulary, znowu zaczynają krzyczeć, że niedość jest zejść się na koncert i dwie trzecie długów dobroczynnej instytucyi zaspokoić, ale należy ją w siły wzmocnić, z dobroczynnego charakteru rozebrać, a pomimo to postawić na fundamencie niewzruszonym, z którego, użyteczności publicznej zadość świadczyć by mogła. Ten i ów się gniewa, inny znowu obraża... pozostaje jednak małe gronko, które rozmyślać zaczyna i od lekarzy bierze plaster na zagojenie świeżych ran... Jeśli kuracya się uda, doniesiemy o jej przebiegu i powodzeniu czytelnikom „Ogniska", sami zaś wrócimy do koncertów, z których jeden szczególniej, p. Zygmunta Noskowskiego, wywołał wrażenie *di primo cartello*. Publiczność ujrzała w młodym koncertancie znakomitego kompozytora, władającego techniczną stroną sztuki jak maestro, posiadającego najwyższe zalety stylu, jednolitości, gruntownych studyów, poczucia piękna, misterności formy i eleganckiego orkiestrowego kolorytu, słowem to wszystko co mu już niemiecka krytyka przyznała dawniej, my zaś *ogniskowi* słuchacze, przedewszystkiem zachwyciliśmy się swojskością melodyi i motywów, które za-

wia arabska kronika Ahmeda-ben-Mokri. Gdy emir Abdallah widział się już do ostateczności doprowadzony, mówi on, zwołał do Alhambry całą starszyznę Grenady i oświadczył jej, że gdy dłuższa obrona miasta jest niemożebną, ułożyć trzeba warunki kapitulacyi. Daremnie rozpaczliwemu temu postanowieniu sprzeciwiał się waleczny Mussa. Widząc że głosu jego nikt nie słucha, że trwoga i podłość zapanowały nad sercami jego rodaków, wyszedł sam jeden ze sali obrad, dosiadł rumaka, opuścił Grenadę, wprost ku obozowi chrześcian zdążając. Tu dotarłszy do przednich straży, wyzwał na ostrze każdego, ktoby się z nim mierzyć zapragnął. Przyjęli wyzwanie chrześciańscy rycerze. Siedmiu kolejno trupem położył waleczny Mussa, nareszcie sam ranami okryty, i czując swe siły słabnące, rzucił się z koniem w nurty Ksenilu, by się Giaury nie mogli pochwalić że z ich ręki zginął. Wypłynął na drugą stronę wierny rumak, i powrotem swym do Grenady los swego pana oznajmił; lecz zwłoki wojownika uniosły nurty rzeki, i nikt ich nigdy już nie widział.

X.

Bądź co bądź ostatnia podpora Islamizmu runęła; obiecywane posiłki od sułtana i sudana Egiptu nie nadchodziły, ostatnie zapasy żywności wyczerpane zostały; nieszczęśliwej ludności Grenady śmierć straszna, śmierć głodowa groziła; jęki i płacze tylko po ulicach słychać było. Zwoławszy więc radę swą, Emir Abdallah wyprawił do króla Ferdynanda posłów z prożbą o zawieszenie kroków wojennych i wskazanie warunków kapitulacyi, na które on z góry przystaje. Dnia 30 grudnia kapitulacya ta zobopólnie podpisaną została. Ciężkie jej dla Maurów warunki były następujące:

1. Jeńcy hiszpańscy bez okupu uwolnieni będą.
2. Maurowie wydadzą wszelką broń i amunicyę.
3. Emir Abdallah wykona przysięgę wierności królowi Kastylii.
4. Majątki, prawa i wiarę Maurów chrześcianie szanować obiecują.
5. Maurowie przez lat trzy wolni będą od podatków, a następnie płacić je będą do skarbu króla Ferdynanda w tej wysokości, w jakiej je emirowi opłacali.
6. Emirowi Abdallahowi dozwolonem będzie zamieszkać w oznaczonéj przez siebie miejscowości, wraz z rodziną i całym ruchomym majątkiem.
7. Ci wszyscy z pomiędzy Maurów, którzy by chcieli w przeciągu trzech lat opuścić Hiszpanię, będą kosztem rządu do Afryki odstawionemi, wraz z ich mieniem.
8. Ogólne rozbrojenie wszystkich mieszkańców państwa grenadzkiego, nastąpi w ciągu dni 10-ciu, po upływie tego czasu noszenie broni śmiercią karane będzie.

Otwarcie bram Grenady i wypełnienie warunków kapitulacyi, na dzień 6 stycznia 1492 r. naznaczonem zostało.

W chwili gdy posłowie z podpisaną już kapitulacyą wracali do Grenady, pokazał się na jej ulicach ten sam marabut święty, który dziesięć lat pierwéj przepowiadał ruinę Grenady. Starość i świeżo przecierpiany głód, tak go zgnębiły, że nie był to już człowiek, lecz szkielet chodzący, w którym dzikim blaskiem płonące oko, jedynie o niewygasłéj jeszcze energii świadczyło. Przebiegał on place i ulice miasta, i głuchym, nic już prawie ludzkiego nie mającym głosem, wyrzucał mieszkańcom Grenady ich brak odwagi, przynosząc im w Imię Niebios obietnicę zwycięztwa, jeżeli raz jeszcze do broni się rzucą, a przedewszystkiem zgładzą nędznego tyrana Abdallaha, główną ich nieszczęść przyczynę.

Złowrogie słowa fanatyka znalazły posłuch u zrozpaczonych dzieci Proroka, tłum wściekły rzucił się ku bramom Alhambry, i opuszczony od swej straży Abdalach już miał paść ofiarą ich zemsty, lecz powołując się na świeżo podpisaną umowę, uznającą go wassalem króla Hiszpanii, zażądał od tegoż posiłków, i wkrótce zbrojny hufiec chrześciański otoczywszy Alhambrę, zmusił zbuntowany lud do odwrotu, i osaczywszy bramę strzegł odtąd bezpieczeństwa emira.

(D. c. n.)

Pietnaście dni na wybrzeżach Gangesu.

(Wyjątki z dziennika podróży A. M.)

(Ciąg dalszy.)

Gospodarz opowiedział nam niedawno zaszły wypadek, w którym znajomy nasz Sawrana ważną odegrał rolę. *Jeruwarusy*, to jest włóczęgi nakształt naszych cyganów, porwali sześcioletnią córeczkę jednego z sąsiadów Vellypoor'u, która miała szczególne łaski u Sawrany, bawiąc się z nim gdy przyjeżdżała z rodzicami. Wysłano więc słonia i jego przewodnika w celu odszukania dziecięcia. Moniram wyruszył w stronę gdzie mu wskazano, a Sawrany powodowany cudownym swym instyktem, doprowadził go na miejsce gdzie banda włóczęgów przeprawiać się miała przez rzekę. Wpadł niespodzianie na złoczyńców, i porwawszy dziewczynkę, uniósł ją w bezpieczne miejsce. Wdzięczni rodzice małej dzieweczki podarowali mu za to na wieczną własność pół pola trzciny cukrowéj, i pół pola ryżu. Darowizny podobne nieraz miewają miejsce w Indyach, i wtedy słoń ma sobie dostawianą nie inną żywność jak ze swych posiadłości. Sawrana, mówił daléj pan Daly, nie kosztuje mnie od tego czasu ani grosza. Właściciele ziemi którą posiada, dostarczają mu wszystkiego czego potrzebuje, uprawiając darowaną mu ziemię.

Gdyśmy poszli do salonu wstawszy od stołu, w dalszym ciągu o Sawranie p. D. powiedział nam jeszcze, że jest on równie jak do boju z nosorożcem, wprawny do walki z tygrysem. Mając nadto jeszcze sześciu innych słoni, równie odważnych do spotkania dzikich nieprzyjaciół, p. D. powiedział nam w końcu że zamierza urządzić polowanie na tygrysy, i pragnie abyśmy je widzie-

---

pewnili nas, że p. Noskowski nie zejdzie z drogi na której Szopen i Moniuszko imie swe wsławili. W wielkiej dziedzinie kosmopolitycznej sztuki, kto nie przynosi narodowej indywidualności, kto nie wzbogaca powszechnego skarbca nowością pełną cech odrębnych, może być *dobrym muzykiem*, nie zostanie jednak nigdy *mistrzem*, bo w cywilizacyjnym postępie nie będzie zaznaczać duchowego kierunku społeczeństwa, z którego wyszedł. Obcy uznali talent młodego artysty i postawili na wyżynach pierwszorzędnego znaczenia; p. Noskowski wezwany został przez syndykat miasta Konstancyi na kierownika miejscowego towarzystwa muzycznego. Cieszymy się z tego uznania, pragniemy jednak, aby twórca „Morskiego Oka", bawiąc za granicą nie stracił z myśli i serca tego ideału i tego żywego tętna bijącego z jego dzisiejszych utworów, aby mężniejąc w siły i zasoby techniczne, pozostał tem czem jest w znaczeniu kreacyjnem, to jest kompozytorem rodzimym, swojskim, indywidualnym.

Że tak będzie nie wątpimy wcale i... nie chcąc przepełniać naszej *kroniki* gwarną wrzawą koncertowych odgłosów, przechodzimy *gwałtownie* i niespodzianie, od symfonij, uwertur i sonat... do *cyfr* i *pracy kobiet* w *pracowni rzemieślniczej kobiecej* w Kaliszu, od roku błogo rozwijającéj się pod przewodniem kierownictwem pani Aleksandry Parczewskiej. Z rocznego sprawozdania tego pożytecznego zakładu, wyjmujemy dane, świadczące pochlebniej od wszelkich pochwał, jakiebyśmy najzręczniej ustylizować zdołali. Otóż skromna i naga prawda wyrażona w liczbach i faktach.

Z dniem 1-ym września 1874 r., otwarte zostały w Pracowni rzemieślniczej dla kobiet w Kaliszu, kursa szewctwa damskiego i dziecinnego, kroju sukien i bielizny białéj, szycia ręcznego i maszynowego, oraz kwiaciarstwa, na które to kursa z chwilą otwarcia, zapisało się uczennic dziewięć, z tych sześć płatnych, bezpłatnych zaś trzy. Kurs buchalteryi otwartym został d. 10 listopada. Od dnia zaś 1-go września 1874 r. do dnia 1-go września 1875 r., zapisało się uczennic płatnych sześćdziesiąt trzy, bezpłatnych dwadzieścia, ogółem ośmdziesiąt trzy. Z tych miejscowych pięćdziesiąt dwie, z gub. kaliskiej trzydzieści, z piotrkowskiej jedna. Razem panien siedmdziesiąt pięć, mężatek pięć, wdów trzy. Wszystkie uczennice należały do wyznań chrześciańskich, izraelitki nie było żadnéj. Podług stanu: córek obywateli wiejskich dwadzieścia dziewięć, miejskich trzy, urzędników dwadzieścia cztery, profesorów trzy, kupców pięć, oficyalistów dziewięć, rzemieślników dwie. Żon właścicieli wiejskich jedna, urzędników dwie, profesorów jedna, przemysłowców jedna. Wdów po urzędnikach jedna, po kupcach dwie.

li. Jest to, jak powiada, jedyna rozrywka, jaką mirasdar Sunderbundu może gościom swoim ofiarować. Uradowani tą obietnicą późno w noc jeszcze przysłuchiwaliśmy się opowieściom majora i jego gości, o waleczności słoniów, i straszliwych napadach tygrysów. Obudziwszy się wcześnie nazajutrz rano, wyszedłem do ogrodu podziwiać znów cuda przyrody. Pełno tam było najcudniejszych kwiatów i nieznanych krzewów, równie jak drzew wyniosłych. Odgłos dzwonka zgromadził gospodarzy i gości w pięknym chińskim kiosku. Wszyscy tutaj wstają bardzo wcześnie, aby uniknąć upału; major więc poszedł zaraz z nami na przechadzkę. Pokazywał nam idąc przez wieś, mieszkania zbudowane niedawno dla coolisów. Były to śliczne chatki zwane *słomiankami* od poszycia dachów, pełne wesołych kobiet i dzieci, zajętych dobieraniem trzciny na plecionki; wszyscy witali mirasdara z oznakami wielkiego zadowolenia. Zwiedzaliśmy potem mieszkania rajotów, w których widać już było pewną zamożność. Ofiarowali p. D. pachnidła i kwiaty, które on przyjmował z uśmiechem. Opowiadali mu o swych pracach i zamiarach na przyszłość. W końcu najstarszy z zamieszkałych w wiosce prosił majora aby im pozwolił wyprawić uroczystość, z okazyi przybycia swych gości, na co on przystał chętnie.

— Będziecie widzieć wtedy całą ludność tutejszą, rzekł do nas; cieszę się że zwłaszcza panu, dodał zwracając się do mnie, nastręczy się sposobność poznania obyczajów miejscowych. Uściskałem mu rękę, rzeczywiście bardzo zadowolony tą nadzieją. Mieliśmy jeszcze iść w pole, ale słońce weszło już bardzo wysoko, i palące rzucało promienie, powróciliśmy więc do salonu gdzie już czekała nas pani Daly.

Skoro tylko noc zapadła, major wyprowadził nas na obszerny taras przed domem, gdzie poustawiano wygodne siedzenia. Zabraliśmy miejsca i niebawem ciemność rozjaśniono mnóstwem ogni bengalskich. Cały ogród oświecono następnie kolorowemi latarniami, i przy ich blasku ujrzeliśmy tysiąc blisko Indyan w narodowych strojach. Był to widok prawdziwie zajmujący i ciekawy. Na raz rozległy się w dali dźwięki muzyki, tłumy rozstępować się poczęły, i ukazało się grono bajaderek ze świątyni Vellyporskiéj; zatrzymały się naprzeciw nas mając na czele pourochitę, to jest jednego z kapłanów niższych stopni, który muzyce takt wybijał. Na dany znak rozpoczęły pantominę pełną wdzięku, w któréj na cześć naszego przybycia wystawiały radość z odwiedzin przyjaciół i smutek rozstania z niemi. Były to, o ile dostrzegłem, śliczne istoty, strojne w jedwab i złote hafty, a ruchy ich nie miały w sobie cienia zbytniej swobody. Mówiono mi potem że zachowują się zawsze podobnie w obec kobiet europejskich. Inaczéj podobno rzecz się ma gdy są z samemi tylko krajowcami. Gdy skończyły swój taniec, nastąpiły chóralne śpiewy, równie jak muzyka miejscowa trudne do zniesienia dla europejskich uszu, trwały wszakże niedługo, poczem najstarszy z rajotów wystąpił z powitalną przemową do gości mirasdara, życząc im wszelkich pomyślności w życiu; skrapiał przytem głowy nasze i ręce najdoskonalszemi pachnidłami. Skoro odszedł, wystąpił improwizator, zapowiadając że śpiewać będzie powieść cudowną, jakoż rozpoczął deklamować czyli śpiewać przez nos historyę o „czterech braminach". Nie będę tu powtarzać jéj treści, jakkolwiek mi ją wytłómaczono; dla znających stosunki miejscowe była to satyra na kastę braminów, która ma pomiędzy sobą wielu próżniaków i ludzi złego życia. Bramini po największej części są zaprzedani Anglikom, i dopomagają im do utrwalenia ich władzy. Niewielka tylko liczba kapłanów żyje w samotności, oddana badaniom ksiąg świętych, płacząc nad upadkiem swego nieszczęśliwego narodu, który niegdyś jaśniał światłem cywilizacyi wśród ościennych ludów. Niezdolni oni są wszakże przyczynić się w czemkolwiek do dobra swego kraju, mając przekonanie że rassa Indyan spełniwszy swe zadanie na ziemi, wyginąć musi, i jest obecnie jak człowiek u schyłku życia, ustępując miejsca innym pokoleniom. Wyobrażenia podobne niezmiernie zadawalniają rząd angielski, nie stara się on więc bynajmniej wpłynąć na ich wykorzenienie.

Uroczystość któréj byliśmy obecni skończyła się na śpiewie improwizatora, poczem major kazał rozdawać obecnym rajotom i coolisom jadła i napoje.

Powróciliśmy do sali jadalnéj gdzie czekała nas uczta podobna wczorajszéj. Nie wstaliśmy jeszcze od stołu, gdy oddano gospodarzowi list od rządcy posiadłości Magna, położonéj o mil kilka, w którym tenże prosił go aby przybywał z całym swym przyborem myśliwskim polować na tygrysy, które niesłychane robią szkody w bydle.

— Drugi już list podobny odbieram w tym tygodniu, rzekł major, lecz czekałem najpierw waszego przybycia, a potem chciałem abyście nieco spoczęli po trudach podróży. Corocznie w tym czasie gdy wylew wód Gangesu wypędzi dzikie zwierzęta na pola i łąki z zarośli nadbrzeżnych, mam ogromne szkody. W trzodach kilkutysięcznych po kilkaset sztuk tracę wtedy. Jeżeli więc nie macie nic przeciwko temu, pojedziemy do Magna, gdzie mam dom urządzony podobnie jak tutaj, i nawet panie jeżeli zechcą, mogą z daleka widzieć polowanie.

Pani Stewens i pani Jacolliot przyjęły tę propozycyę; wszyscy oznajmiliśmy że nie czujemy najmniejszego strudzenia, i bodaj dziś gotowi jesteśmy udać się do Magna.

— Byłoby to trochę zapóźno, rzekł z uśmiechem gospodarz, lecz jeżeli na to zezwalacie, jechać możemy jutro lub pojutrze.

Podróż nasza odbywała się w oryginalny sposób, siedzieliśmy bowiem na słoniach w pewnym rodzaju namiotów na ten cel urządzonych, zwanych *haoudachs*. Służba jechała w wózkach ciągnionych przez woły. Wózki te mieściły także wszelkie zapasy i przybory podróżne. Droga ciągnęła się przez posiadłości majora, wszędzie więc

---

Z téj liczby na kurs kroju, szycia ręcznego i maszynowego zapisało się pięćdziesiąt dwie, ukończyło dziesięć, wypisało trzydzieści dwie, pozostaje dziesięć. Na kurs kwiaciarstwa zapisało się dziewięć. Ukończyło go dwie, wypisało się sześć, pozostaje jedna. Na kurs szewctwa zapisało się jedenaście, ukończyło pięć, wypisało sześć. Na kurs kroju i szycia białéj bielizny, zapisało się trzy, wypisało się trzy. Na kurs buchalteryi zapisało się siedm, ukończyło cztery, wypisała jedna, pozostaje dwie. Z ogólnej liczby ośmdziesięciu trzech uczennic, całkowite kursa ukończyło: płatnych czternaście, bezpłatnych siedm, ogółem dwadzieścia jeden, wypisało się czterdzieści dziewięć, pozostaje w pracowni płatnych siedm, bezpłatnych sześć, razem trzynaście. Z dwudziestu jeden uczennic które ukończyły kursa, pięć jako płatne pracownice pozostają w pracowni, trzy zaś w innych miastach mają zamiar otworzyć warsztaty. Kursa rękawicznictwa, introligatorstwa, oraz rysunku w zastosowaniu do rzemiosł, objęte programem pracowni, dla braku dostatecznéj liczby uczennic nie zostały otwarte, z tegoż także powodu, kurs kroju i szycia bielizny białéj został zamknięty. Na obecnie zaś wykładane kursa, uczennice mogą się zapisywać pod następującemi warunkami: za naukę szewctwa damskiego i dziecinnego, opłata miesięczna wynosi rubli pięć, kurs półroczny, po upływie którego uczennice względnie do uzdolnienia pobierać mogą wynagrodzenie. Na tychże samych warunkach nauka fabrykacyi kwiatów. Za naukę kroju sukien i okryć, szycia ręcznego i maszynowego, opłata miesięczna wynosi rubli cztery; nauka kursu trwa względnie do wprawy i uzdolnienia uczennic. Wyłączny zaś kurs kroju sukien i okryć trwa miesięcy dwa, za opłatą miesięczną rubli czterech. Z powodu zgłaszających się kandydatek, otwartym został 15 października r. b. trzechmiesięczny kurs modniarstwa i strojów damskich, z opłatą miesięczną rubli pięć. Na wyżej wymienionych kursach codziennym wykładem zajmują się specyalnie uzdolnione nauczycielki. Kurs buchalteryi półroczny, za opłatą miesięczną rubli cztérech, wykład trzy razy tygodniowo. Zapis uczennic przyjmuje się pierwszego i 15 każdego miesiąca. Naukę szewctwa, kroju sukien i okryć, modniarstwa, szycia ręcznego i maszynowego, uczennice rozpocząć mogą natychmiast z chwilą zapisu, otwarcie zaś trzeciego kursu kwiaciarstwa i buchalteryi (obecny kończy się w bieżącym miesiącu) nastąpi w miarę zebrania się kompletu uczennic, to jest pięciu osób. Nauka rzemiosł odbywa się z pomocą narzędzi i materyałów będących własnością pracowni. Uczennice po ukończeniu kursów, jako stałe pracownice, względnie do uzdolnienia, pobierać mogą wynagrodzenie; tych że samych praw używają ubogie uczen-

i kwiaty. W jednéj wiosce, gdzie zatrzymaliśmy się dla wypoczynku, przyniesiono młodego krokodyla, nie większego od dużéj jaszczurki. Kucharz majora usmażył go, nie mogłem wszakże przemódz wstrętu, aby go skosztować. Towarzysze moi którzy byli odważniejsi i próbowali téj potrawy, mówili że nie miała osobliwego smaku. Stanęliśmy w Magna na sam zachód słońca, przebywszy obszerne równiny, na których pasły się stada wołów i kóz tybetańskich. Po za niemi odznaczały się czarnym pasem lasy i zarośla. Rządca miał już wszystko w pogotowiu, polowanie miało się więc rozpocząć nazajutrz.

Skoro świt wyruszyliśmy w następującym porządku. Najpierw szło kilkunastu ludzi, mających na czele Savranę z jego przewodnikiem, oraz drugiego równie rozumnego słonia zwanego *Soupramany*, pozbawionego jednego kła w walce stoczonéj w obronie dzieci majora od dzikiego oszalałego słonia. Tygrys tyle znaczy dla niego co komar, rzekł major, ale nie wystawiałbym go nigdy na niebezpieczeństwo walki z nosorożcem. Za Savraną i Soupramanym szło parami sześć innych słoni, na których siedzieli myśliwcy. Na ostatku szedł słoń imieniem *Naryanin*, w którego namiocie siedziała pani Stewens z panią Jacolliot, w małéj wieżyczce otoczonéj żelaznemi obręczami dla większego bezpieczeństwa. Naryanin i Soupremany na którym uczepili się jeszcze ludzie z żywnością, nie miały wcale uczestniczyć w walce, stojąc na boku jako widzowie. Słonie idące w pośrodku, które literalnie mówiąc miały się bić z tygrysami, nie miały na sobie namiotów. Przewodnicy którzy na nich siedzieli, trzymali tylko rodzaj trzęzli, zarzuconej przez ich głowę i plecy. W drodze do zarośli które miały być miejscem polowania, spotkaliśmy człowieka z kasty *bohisów*, to jest stróżów skarbów. Najstraszliwsze przekleństwa spadają na tego, kto by śmiał go okraść, bohisy zatem używani są do przesyłek pieniędzy lub kosztowności, i ten którego widzieliśmy powiedział nam, że ma przy sobie dzięć tysięcy rupij w złocie, które jakiś kupiec przesyłał drugiemu.

(D. n.)

Z PODRÓŻY PO SERBII.

I.

Rezultat dotychczasowych moich wrażeń z podróży wyraziłbym w słowach: cześć ludności zdrowéj, dzielnie naprzód dążącej! Cześć rządowi, który nie cofa się przed ogromem trudności, jakie ma do zwalczenia, lecz wśród pracy organicznéj trwa w téj walce nieustraszenie! Zaprawdę, Serbowie, to lud zdrowy, intelligentny i mający przyszłość przed sobą, a za sobą—przeszłość obfitą we wspomnienia wielkie; lud, który dużo nauczył się z doświadczeń przeszłości, i poważnie szuka drogi właściwej dla swego rozwoju w przyszłości.

Czterdzieści lat dopiero, jak naród serbski pozbywszy się choć w części ciężkiego panowania tureckiego, mógł pomyśleć o rozwoju samodzielnym, a i w tym krótkim czasie częste zmiany osób panujących, wstrzymywały i opóźniały postęp wszelaki. Co więcéj, wywołane w czasach najnowszych (1868 r.) przez nieliczne stronnictwo malkontentów zamordowanie księcia Michała, zadało krajowi ranę głęboką, dotychczas jeszcze nie zabliźnioną; wraz z księciem pełnym zasług pogrzebano plany i projekta, do których obmyślenia i wykonania nie prędko później przystąpić było można.

A jednak jak wiele dokonano w przeciągu tak krótkiego czasu! Przedewszystkiem zupełnie uporządkowano stosunki prawne i policyjne. Z uśmiechem przypominam dziś sobie, jak dobrzy znajomi przed wyjazdem radzili mi zaopatrzyć się w rewolwery, pałasze, eskortę zbrojną i t. p., zapewnić bowiem mogę, że mało pewnie jest krajów i okolic, w którychby takie było bezpieczeństwo osób i własności, jak w księstwie Serbskiem.

Skoro kradzież gdzie zostanie spełnioną, rajoci i coolisy witali nas, ofiarując owoce cała gmina wyrusza celem wyśledzenia i ujęcia sprawcy, który prawie zawsze bywa cudzoziemcem. A ujęcie to najczęściéj się udaje przy pomocy kilku dobrze wymierzonych strzałów, gdyż wszyscy mieszkańcy noszą broń przy sobie i strzelają bardzo celnie z karabinów dawnéj konstrukcyi, około sześciu stóp długich. Chłopi unikają tam broni perkussyjnéj z obawy, aby im przy dłuższéj utarczce nie zabrakło pistonów, i są przekonani, że wraz z długością lufy karabinowéj wzrasta i pewność strzału.

Dalej znajdujemy w Belgradzie Szkołę Główną, założoną przez jednego z bogatych obywateli z prawdziwie patryotyczną hojnością, o kierunku przeważnie realnym. Szkoła ta otwartą jest dla pokrewnych pod względem szczepowym i językowym Czarnogórców i Bośniaków, przez to mianowicie, że budżet księstwa przeznacza summę dosyć znaczną na bezpłatne nauczanie i utrzymanie podczas pobytu na wszechnicy belgradzkiej Serbów zagranicznych, tak, że Belgrad ooraz bardziej staje się ogniskiem oświaty dla pięciu milionów Serbów, żyjących w Czarnogórzu, Hercogowinie, Bośnii, Banacie i t. d.

Właściwe księstwo Serbskie liczy zaledwie dwa miliony mieszkańców. Szkoła Główna o której wspomnieliśmy, jest wprawdzie bardzo młodą, ale pomimo to już niejedno imie znakomite zapisane jest w jej rocznikach. Prof. Pancic jako botanik, i radca stanu Szafarik, jako historyk i etnolog, cieszą się uznaniem powszechnem. Siły młodsze skrzętnie i gorliwie pracują nad naukami specyalnemi, zwłaszcza nad fizyką, chemią i mechaniką — i nie ulega wątpliwości, że piękne będą owoce tej poważnéj działalności.

Zdaje mi się tylko, że zajęci naukami przyrodniczemi, technicznemi i prawnemi, uczeni Serbowie zapominają, a przynajmniej nie wielkie mają pojęcie o humaniorach właściwych, w szczególności zaś o badaniu starożytności klassycznéj i ogólnéj historyi cywilizacyi i literatury. Mówiłem z kilku ukształconymi Serbami, którzy mi to przy-

---

nice, bezpłatnie pobierające naukę w pracowni. Prócz przychodnich przyjmują się również uczennice na stół i stancyę, za umiarkowaną opłatą. Począwszy zaś od dnia 15 Października b. r., przyjmuje „Pracownia" w komis, celem sprzedaży, wszelkie roboty kobiece, jako to: hafty, wyroby włóczkowe, siatkowe, szydełkowe, i t. p. — po za obrębem pracowni wykonane. W tymże zakładzie jest do sprzedania obuwie damskie i dziecinne, kwiaty za umiarkowaną cenę,—przyjmują się również zamówienia na obuwie, na kwiaty, kapelusze, krezy, oraz wszelkie stroje w zakres toalety damskiej wchodzące, wykończają się suknie damskie i dziecinne, salopy i okrycia według świeżych fasonów.

Widzimy z tego sprawozdania że pracownia pani Aleksandry Parczewskiej, nie goniąc po obłokach egzaltacyjnej emancypacyi, jest zakładem ze wszech miar praktycznym i pożytecznym, walczy z przesądami prowincyonalnego życia i toruje sobie drogę do zasługi obywatelskiej, krocząc po gościńcu umiarkowanego i rozsądnego postępu. Nie wiemy jak przyklasnąć téj działalności rozumnéj i szlachetnéj zarazem.

Felieton będący objawem życia, jak życie musi mieć dwie strony. Zwierzchnią, piępną — odwrotną, brzydką. Otóż kiedy wspominamy o pocieszających faktach i myślach, niemożemy pominąć i smutnych. Jednym z takich jest rozbój, oraz kradzież i grabież, prawie nieustannie rozgoszczone po ulicach i domach warszawskich od pewnego czasu, do tego stopnia, że niema prawie jednego numeru jakiegokolwiek pisma codziennego, w którymby kronika „nowin bieżących" nie była przepełnioną opisami bohaterskich czynów panów rzezimieszków. Optymiści... ale ci tylko których dotąd nie okradziono... z uśmiechem przyjmują te wieści, dowodząc że w stolicach zachodnich wypadki podobne sto razy są częstsze, a przynajmniej tysiąc razy dramatyczniejsze, i więcéj zajmujące. Że w Paryżu niema *faits divers* bez jakiej wspaniałéj zbrodni á la Traupman, że w Londynie pickpockety nie tylko że wyciągają zegarki i portmonetki, ale w biały dzień duszą sznurami na ulicy, poważnie przechadzających się gentelmanów, że w Berlinie ludzie dbający o swoje zdrowie i życie noszą rewolwery i *cassetety* w kieszeniach, Że nie doszliśmy jeszcze do rozwoju złodziejstwa, jakie praktykowanem bywa w owych miastach, nie ulega wątpliwości;—cokolwiek bądź, znajdujemy wielce sprawiedliwem że straż bezpieczeństwa publicznego od pewnego czasu nader energicznie zabrała się do dzieła i tropi rozbitków moralnych, nawet w najskrytszych ostępach naszéj nierówno zabudowanej Warszawy, zajmującej nader szeroką i rozległą przestrzeń na lewym

znali, rzadko jednak który uczuwał brak z tego powodu, i pojmował nieuniknione szkodliwe następstwa, jakie z takiego położenia we względzie etycznym wypływają. Uważają oni po prostu starożytność za rzecz stanowczo zamkniętą, a historyę mniej więcéj za zestawienie ludzkich błędów i niedorzeczności. Z tem wszystkiem przecież sądzę, że zaniedbanie to ma źródło swoje w stosunkach ogólno kulturalnych i przekonany jestem, że z czasem i ta luka dostrzeżoną i wypełnioną zostanie. Tymczasem nawet teologowie kościoła ortodoksyjnego (którzy zresztą kształcą się w seminaryach w żadnym związku ze szkołą główną nie pozostających i po klasztorach) nie uczą się ani łaciny, ani po grecku, ani po hebrajsku; z biblią zapoznają się w przekładzie starosławiańskim, a pytanie moje, kto i kiedy był autorem tego przekładu—pozostało bez odpowiedzi. Obok szkoły głównéj, dwa doskonale kierowane seminarya nauczycielskie, dostatecznie zaopatrują kraj w dobrych nauczycieli. Seminarya te posiadają najnowsze pomoce naukowe, i również bezpłatnie przyjmują Serbów zagranicznych. Zwiedziłem kilka szkół elementarnych, i prawdziwie zbudowany zostałem postępem w naukach, jaki okazywały tam dzieci, prawie wyłącznie chłopcy, względem dziewcząt bowiem nie ma przymusu szkolnego. Postępy zaś te tem godniejsze są uznania, że szkoły ludowe w Serbii z wielkiemi trudnościami mają do walczenia; pojedyncze domy włościańskie, szczególniej w okolicach górzystych, często o kilka mil odległe są od siebie, a szkoła pamiętać musi nie tylko o nauce, ale i o żywności i pomieszczeniu dla uczniów. Nadto w każdym z siedemnastu okręgów rządowych w Serbii są gimnazya i szkoły realne, które jednak nie wielu liczą uczniów z powodu odległości mieszkania, a ztąd potrzeby zaopatrywania ich we wszystko na czas dłuższy lub krótszy.

Nie zapomniano tu i o sztuce. W kościele w Waljewie widziałem wcale niezłe obrazy pędzla pewnego malarza serbskiego, którego nazwiska nie przypominam sobie w téj chwili. Od lat dziesięciu w Belgradzie istnieje teatr przez rząd subwencyonowany, któremu brak jedynie opery. Teatr ten przed trzema laty bardzo ładnie odbudowany został, ma oświetlenie gazowe, oraz dekoracye i wszelkie inne rekwizyta w takim wyborze, że i większe dzieła dramatyczne przyzwoicie przedstawiać jest w stanie.

Chociaż towarzystwo artystów jest niewielkie, grają jednak bardzo dobrze; orkiestra też mała ale dobrana, a i chóry czysto i poprawnie wykonywają wdzięczne melodye węgierskie i słowiańskie. W sztukach historycznych i narodowych główną rolę tu grają jeszcze: karabin, pistolet, szabla i jatagan (długi nóż serbski), tak, że pierwsza aktorka tameczna, która skarżyła mi się na brak odpowiedniego pojęcia subtelnych odcieni akcyi dramatycznéj ze strony publiczności, żartobliwie dodała: „O! nieraz z pewnym szatańskim humorem schodzę do błazeństw kulisowych! Żebyś pan słyszał wtedy co za oklaski się rozlegają, gdy nóż ogromny zatapiam sobie w piersi lub strzelam z pistoletu! W takich razach przecież wiem, że oklaski te wywołuje nóż lub pistolet, ale nie ja!“

Na téj saméj scenie widziałem dwóch Czarnogórców, przyjaciół od serca, ściskających się czule i umawiających się o pojedynek z sobą dla tego, że obaj jednę pięknę kochali turczynkę — kto z nich przeżyje, miał stać się szczęśliwym małżonkiem owej córki sułtana czy paszy, z niebezpieczeństwem uprowadzonéj, lecz zarazem z żalem głębokim miał jéj smutną przyniéść wiadomość, że musi jéj, niestety! ściąć głowę z przyczyny, iż rodaków swoich prosiła o darowanie mu życia! Do takich przedmiotów umysł cudzoziemca przyzwyczaja się z trudnością i powoli. Pomimo tych efektów hukających i przygód pałaszowych, które zawsze przedstawiane bywają przez postaci piękne i szlachetne, w kostiumach nadzwyczaj malowniczych, o właściwych Słowianom ruchach, pełnych dumy i wdzięku nieokreślonego, z ogniem i życiem—scena belgradzka ma pełną świadomość powołania swojego, wie, że zadaniem jéj jest szerzyć i podnosić pomiędzy publicznością pojęcie poezyi prawdziwéj, uczucie delikatne i smak estetyczny; proszę też kilku mych słów żartobliwych nie uważać za skierowane przeciwko dyrekcyi lub członkom trupy belgradzkiéj. I jedna i drudzy bowiem muszą w pewnym względzie liczyć się z wymaganiami charakteru narodowego, jeśli w ogólności działać i wpływ nań wywierać pragną, gdyż to, co mówi Horacy, że chcąc opanować przedmiot jaki, trzeba zacząć od poddania mu się (*non sibi res, sed se submittere rebus*)—i tu znajduje zastosowanie. Że scena belgradzka właściwie pojmuje posłannictwo swoje, wypływa ztąd, że są tłómaczone na język serbski i bez ustanku prawie figurują w repetoarze sztuki takie, jak: *Kupiec wenecki*, *Otello*, *Romeo i Julia*, *Król Lear*, *Poskromienie Złośnicy*, *Natan Mędrzec*, *Emilia Galotti*, *Rozbójnicy*, *Intryga i Miłość*, *Fiesco*, *Marya Stuart*, *Donna Diana* przez Moreta, obok tego wiele utworów *Scribego*, niemieckiej autorki *Birch-Pfeiffer* i *Dziennikarze* Freitaga. *Dziennikarze* przedstawieni byli na żądanie samego księcia Milana. Byłem właśnie na tem przedstawieniu i przyznać muszę, iż, jakkolwiek inaczéj jak w Niemczech, sztuka doskonale była odegraną. Wykonanie roli Adelajdy przez panią Milkę Grugrową, byłoby ozdobą każdéj sceny europejskiéj, a oddanie jednéj z głównych postaci, Konrada Bolz, przeszło wszelkie moje oczekiwania. Wszystkie inne role męzkie zdawały mi się przetłomaczone na serbskie, nie tylko pod względem języka, ale pod względem istoty i charakteru.

---

brzegu Wisły. Niedawno, w okolicach Łazienek, na pewnym rodzaju formalnéj obławy, schwytano stokilkadziesiąt indywiduów rozmaitéj płci i wieku, pomiędzy któremi znajdowało się kilku małoletnich przestępców. Może Studzienickie kolonie poprawią ich i powrócą utraconych społeczeństwu. Wprawdzie w zgrai złodziejskiej znajdują się nader często nieszczęśliwi, których nędza, spychając z jednego stopnia upadku na drugi, rzuciła w objęcia zbrodni większość jednakże; składa się przeważnie z próżniaków, którzy nie chcąc się chwycić uczciwéj pracy, najprzód żebrzą, mniej lub więcej natarczywie, później przywłaszczają sobie rzeczy cudze, niewinnie, przypadkiem, a kończą na gwałcie, ba! nawet i morderstwie czasem. Starajmy się zatem w życiu codziennem, widząc kandydatów przyszłéj jakiej szajki z Górnej ulicy, lenistwem, opilstwem i żebraniną poniżających się i skłaniających do upadku, dźwigać ich moralnie i zachęcać do pracy. Chrońmy się dobroczynności która rzuca jałmużnę, a podajmy możność zapracowania na chleb, bo jałmużna psuje, praca zaś rozwija, wzmacnia i podnosi. Dawać jałmużnę sprzykrzy się najbogatszemu — i bodaj czy nie naprzód najbogatszemu—dając zaś pracę, zaspakajamy potrzeby społeczeństwa zajętego swoim dobrobytem, czynimy dobrze sobie, ubezpieczamy, asekurujemy (że tak rzekę) swe życie i swoje ogniotrwałe kassy. Udzielać pracę i zapomogę, względnie do uzdolnienia i moralnych zasobów potrzebującego, jest rzeczą szlachetną, konieczną, nieodbicie potrzebną, jest większą filantropią jak wszystkie chojne datki, rzucane z próżnością na kwestarskich stołach i biurach redakcyjnych, jest wreszcie... dowodem rozsądku. Zajmijmy się solidarnie losem pracowitych a potrzebujących, zajmijmy się nim jak należy, praktycznie, po chrześciańsku, a niezawodnie ta falanga wyrobnicza, sama zgniecie i zdepcze próżniaków, niedając im nawet dość czasu na rozwinięcie się i zamienienie w złodziei i zbrodniarzy. Prawda to prosta i stara jak świat. Zasady wypowiedziane przez nas, praktykowanemi były niegdyś;— i lepiej było pod względem tym, w starym, niepostępowym świecie; mniej kału i mniej cynicznego upojenia się jego duszną wonią, lepiej o zdrowiu publicznem świadczyło...! Gdyby to tak można było idąc po nowym gościńcu, stary ale dobry pakunek, należący do przeszłości, zabierać z sobą w drogę! Co się zepsuło, zużyło, spróchniało, rzucać energicznie do rowu, ale za to wszystko czerstwe, silne, twarde, zachować i nierozstawać się z niem wcale w imie nowatorstwa, a raczéj „nowinek“, jak to mówiono i fałszywie nazywano, wtedy gdy reformacya była nowiną tylko, a nie propagował jéj wówczas jeszcze miecz najdzielniejszych i najgenialniejszych wodzów, owej najkrwawszej w dziejach myśli, epoki.

SZKICE
Z DZIEDZINY CHEMII.

(Ciąg dalszy.)

Flamel był uszczęśliwiony—czyż nie znalazł rzeczywistego kamienia filozoficznego w swej żonie? Nie tu wszakże był kres jego powodzenia. Jednej nocy objawił mu się anioł i wskazując na starą przepysznie oprawną księgę, którą trzymał w ręku, rzekł: „Flamelu, księgi tej nikt jeszcze nie zrozumiał; znajdziesz w niej to, czego nikt nie powinien wiedzieć". Flamel wyciągnął chciwie rękę po tak wspaniały podarunek, lecz anioł w tejże chwili wraz z księgą rozpłynął się w dymach gazowych. Dotąd widzenie to nie ma w sobie nic osobliwego; rozpłynęło się w dymie jak wiele innych złudzeń alchemików. Flamel zapomniał nawet o tym śnie cudownym, gdy wtem zjawił się przed nim nieznajomy człowiek, i żądał dwa floreny za książkę całkiem podobną do ofiarowanej mu w czasie objawienia się anioła.

Była to księga hebrajska, zapisana obrazami i rysunkami niezrozumiałemi do tego stopnia, że dopiero po dwudziestu latach mozolnych studyów, wraz z biegłą w piśmie symbolicznem połowicą swoją, Flamel doszedł wreszcie, że księga pisana po hebrajsku mogła być tylko przetłomaczoną i objaśnioną przez żyda, i to żyda wielce uczonego, którego wypadało poszukiwać aż w Hiszpanii.

Flamel udał się w drogę z kopią poważnego dokumentu, pozostawiając oryginał pod strażą zacnej małżonki, a najprzód odbył pobożną pielgrzymkę do św. Jakóba w Kompostelli. Los mu posłużył przedziwnie—wynalazł lekarza żyda, który na widok symbolicznych znaków przekopiowanych z księgi, zgodził się na jej przekład, pod warunkiem że na własne oczy ujrzy zatracony jakoby od wielu wieków oryginał, który, jak mówił, już za Abrahama był w wielkiem poważaniu.

Flamel zatem z żydem powracał do domu, słuchając z żywem zajęciem wyjaśnień towarzysza podróży, wyjaśnień od tak dawna pożądanych. Obadwa dążyli do Francyi — jeden pragnął co prędzej sprawdzić doświadczeniami formuły kabalistycznej księgi — drugi więcej platonicznego ducha, żądał tylko dotknąć się rękoma przedmiotu tak drogocennego. Niestety — niebo nie pozwoliło mu doczekać spełnienia się tej błogiej nadziei — biedny żyd umarł w drodze; Flamel pozostał jedynym panem tajemnicy. Wróciwszy też do domu, wraz z godną małżonką zajął się żarliwie fabrykowaniem złota i srebra.

Wkrótce recepty hermetyczne słynnej księgi, wniosły w dom Flamela zamożność niesłychaną. Wdzięczni za tyle łask niebu, Flamelowie fundowali czternaście szpitali i nie wiem już ile klasztorów — na tem kończy się legenda.

Mistycyzm znajduje zawsze przeciwnika w sceptycyzmie. Złośliwi pisarze współcześni Flamelowi powiadają, że mniemany alchemik był tylko przebiegłym oszustem—że z lichwy i z innych niecnych sposobów zarobkowania, powstała cała jego fortuna, dla usprawiedliwienia której, przed oczyma mass ciemnych i przesądnych, wymyślił bajkę o aniele i żydzie; że wreszcie w końcu życia dla oczyszczenia się z grzechów, stał się pobożnym fundatorem szpitali i klasztorów.

Idea alchemików była utopią, nie mniej przeto wierzyli oni w nią szczerze. Według pojęć owoczesnych, wszelkie metale, jak ołów, żelazo, miedź i inne, były pierwotnie złotem; wynikała ztąd możebność przywrócenia ich do pierwotypu, i alchemicy rzucali się z zapałem godnym lepszej sprawy na tę drogę — gonili za mrzonką pocerpniętą z fałszywego założenia. Nie możemy ich jednak bezwzględnie za to potępiać, tem więcej, że chemia zawdzięcza ich pracom wiele odkryć niepospolitej wartości: rzec można, że nie było materyi, którejby nie macerowali w tyglach adepci Hermesa. Jakoż metalurgia winna im kupelacyę, to jest szacowny proces z pomocą którego następuje redukcya tlenków i siarków różnorodnych metalów. Na użytek przemysłu alchemicy oddali kwasy, tlenki i siarczyki zabarwiające tkankę roślinną i zwierzęcą, liczne sposoby dystylacyi, — i pierwsze wskazówki zjawisk elektro-galwanicznych. Medycyna wreszcie z ich prac pozyskała wiele leków.

Gdyby poprzestali na drodze empirycznych doświadczeń, bezwątpienia mniej popełniliby niedorzeczności—alchemicy przecież sięgali dalej, w światy nieznane i tajemnicze—poszukiwali też *duszy świata* istniejącej wszędzie, ożywiającej wszystko, i przywodzić mającej człowieka do bezpośredniego stosunku z Bogiem i duchami. Leibnitz, znakomity myśliciel XVII wieku, przejawiał niemniej pociąg do alchemii; kosztowały go też drogo doświadczenia odnoszące się do transmutacyi metalów w złoto. Dowodzi to, że sztuka hermetyczna nawet dla ludzi obdarzonych wyższym umysłem, przedstawiała zajmujące strony.

Czyżby więc alchemicy mieli w istocie jaką nić przewodnią, która ich wiodła do czegoś pozytywnego w ciągu pietnastu wieków? Na to pytanie chcielibyśmy odpowiedzieć, opierając się na nowszych poglądach chemii.

Nie tak dawno jeszcze chemicy przyjmowali za zasadę, że ciała złożone z jednakowych pierwiastków, połączone z sobą w stosunkach jednakowych, tworzyć mogą z sobą jedynie związki posiadające własności jednakowe.

Owóż liczne doświadczenia, dokonane z pomocą analizy jaką dziś chemia rozporządza, okazały rezultat całkiem przeciwny. — W niej samej istnieje wiele związków wielce różnych od siebie własnościami fizycznemi i wyglądem, które przecież są jednakowego składu. I tak: kwas octowy i cukier niekrystaliczny, zwany *karamelem*, zawierają w sobie 4 cz. węgla, 3 cz. wodoru i 3 cz. tlenu — skład ich zatem jest jedna-

---

Oj! z tą myślą, aby popuścić jej tylko wodze, a wnet galopuje po za obrębem odcinkowych fakcików, zdarzeń i kwestyjek. W siadłszy na pióro jak na bieguna, sunie szybko dopóki w biegu nie zatrzyma jej kres felietonowej ramy, szczupły, wątły, mały, ten kres zmuszający pamiętać o zakończeniu gawędy. A chcieliśmy tu nawiasowo zanotować jeszcze wrażenia odniesione z przeczytania zgrabniuchnej nowelki pod tytułem: „Dwa listy" drukowanéj niedawno w „Kuryerze Warszawskim" i napisanéj przez młodego autora, kryjącego swoje nazwisko pod pseudonimem W. Nosty. Wdzięczna forma i pewna wykwintność salonowéj treści, wyróżnia ją szczęśliwie z pośród wielu literackich bieżących fabrykatów, rozsypanych po odcinkach pism czasowych, — na nieszczęście, zauważyliśmy, że myśl jej przewodnia jest blizko spokrewnioną z jednym z utworów drobnych znakomitéj Gabrieli, która ze szkodą dla literatury milczy od lat wielu. Zagadnienie wyboru kobiecego serca, niewiedzącego czy przyjąć konkurenta z milionem, czy oddać swoją rękę w dłonie człowieka kochającego szczerze i bezinteresownie... tam, słynna autorka pozostawia domyślności czytelnika, tu zaś nieznany, debiutujący pisarz,—nierozwiązuje go wcale, pozwalając bohaterce zapomnieć tak o jednym jak i drugim, dla cyrkowego widowiska. Stare francuzkie przysłowie utrzymuje że „les beaux ésprits se rencontrent". Mniemamy że spotkania takie są rzeczą dosyć naturalną, bo chociaż dzielnych pracowników na niwie piśmienniczej co raz bardziej ubywa, ale i materyał niegdyś olbrzymi i bogaty, dziś uszczuplił się znacznie. Społeczeństwo, zajęte pracą przemysłową i spekulacyjną, nie wytwarza z siebie treści zdatnej do prawdziwie artystycznych, belletrystycznych kreacyj—zaledwie starczy mu sił na felietonowe roboty. Ztąd powieść i nowella tracą swój dziewiczy charakter. Ogadane rzeczy *ogadują się* na nowo, i obrobienie tylko nadaje charakter nowości. Tak pełna poetycznej siły i wzniosłych pojęć Gabryela pozostawia zapytanie bez odpowiedzi, p. W. Nosta zaś rozwiązuje ją środeczkiem efektownym ale realistycznym—wtedy kiedy satyryk, jakich dziś mamy wielu, szczerze i brutalnie odpowiedziałby z zimną krwią: „bohaterka bieżącéj epoki nie powinna wahać się i namyślać, tylko sięgnąć po milion i kwita!" Czy jednak i ten miałby słuszność, odpowiedzieć mogą — tylko — miłe nam czytelniczki „Ogniska".

(*X—i.*)

kowy, a przecież jakże różnemi są własności. Podobnież gaz oświetlający z tychże samych pierwiastków i ich stosunków się składa, co części stałe olejku różanego, gdyż w jednym i drugim przetworze, znachodzimy na 1 cz. węgla 2 cz. wodoru, a przecież olejek różany przedstawia całkiem inny wygląd i woń zupełnie różną, od gazu oświetlającego.

Straszliwa trucizna, kwas pruski, jest związkiem tychże samych elementów, które składają najniewinniejsze sole amoniakalne. Związkom tego rodzaju nadali chemicy nazwę izomerycznych, to jest ciał, które posiadając jednakowe składy, cechują się odmiennemi własnościami. Chemia nowożytna wyjaśnia te sprzeczności różnorodną liczbą i różnem ugrupowaniem się atomów, tworzących molekuły każdego z ciał izomerycznych.

I tak węgiel wchodząc w połączenie z wodorem, tworzy następnie trzy związki gazowe. W pierwszym 12 części węgla łączą się z 2 częściami wodoru,—w drugim 24 cz. węgla wiąże się z 4 częściami wodoru,—w trzecim znajdujemy 48 części węgla i 8 części wodoru. Mogłoby się zdawać z pozoru, że ponieważ części tworzące te związki są do siebie proporcyonalne, wytworzyć więc powinny jeden tylko produkt,—wszelako zachodzi zupełnie co innego, gdyż pierwszy związek jest gazem błotnym czyli wodorkiem metylu, drugi acetylem, trzeci elaylem. Podobnież izomerycznemi są ciała proste czyli pierwiastki, przykład ich napotykamy w węglu i dyamencie. Ten drogocenny kamień, rozsiewający tak żywe blaski, jest, jak oddawna wiadomo—czystym węglem; a jednak jakże się różni od zwykłego węgla pozorem i własnościami! Przetworzony w koks przez kalcynacyę, dyament pozostaje zawsze chemicznie tem czem był, to jest węglem—wszakże dla naszych zmysłów dyament ów staje się tylko bryłą koksu.

Wiele metalów posiada jednakowy ciężar atomiczny, jako to: cer, lantan, molybden, osm i złoto. Czy więc do przetworzenia osmu w złoto i odwrotnie, nie dość byłoby zmienić skład atomiczny w jednym z tych metalów? Jest to pytanie zapewne nie mające dziś w nauce danych do jego rozwiązania — w każdym razie na téj drodze możeby transmutacya metalów znalazła pewniejszą podstawę. Zadania tego końcem końców nie można poczytywać za niepodobne do spełnienia, w obec zdumiewających odkryć gieniuszu ludzkiego. Rzucając tę myśl, powołujemy się na słowa wyrzeczone przez Dumasa chemika, rozpatrującego transmutacye ze stanowiska izomeryi.

„Jeżeli, powiada Dumas, z izomeryi nie wypływa żaden dowód możebności transmutacyi pierwiastków, to przecież nie idzie za tem, abyśmy odpychali tę ideę, jako całkiem niedorzeczną, gdyż do tego wiedza nasza nie nadaje nam jeszcze prawa."

Cóż mamy o tem sądzić? czy analizę doczasową poczytywać za bardzo jeszcze niedołężną, gdyż nie może wykryć co wpływa na różnicę dwóch ciał identycznych składem, i musi opierać się na hypotezie, że różnicę między temiż ciałami sprowadza odmienny układ ich atomów? Czy przypuścić że jakiś tajemniczy element, jeszcze niewykryty, wpływa na układ atomów w materyi, i szydzi z chemika i jego szalek? Bądź co bądź są to kwestye dotąd nieodgadnięte, i od ich rozwiązania zależy niewątpliwie ostateczne potępienie lub usprawiedliwienie idei alchemików.

Wincenty Niewiadomski.

Z DOMU I DLA DOMU.

— **Pranie i farbowanie sukien czarnych wełnianych.** Jednym z najgustowniejszych a zarazem najpraktyczniejszych, bo najoszczędniejszych strojów kobiecych, jest suknia czarna wełniana. Każdéj kobiecie w niej do twarzy, do każdéj niemal toalety i do każdéj okazyi się nada, nosi się bardzo długo, a kiedy wreszcie stera się z czasem, poplami i zburzeje, jeszcze ją można z łatwością odrestaurować i do pierwotnego niemal stanu świeżości przywrócić, a to bardzo małym kosztem, u siebie w domu i bez wielkich zachodów. Sposoby tej restauracyi podajemy tutaj. Chcąc czarną wełnianą suknię uprać, kupuje się u rzeźnika dwie żółcie wołowe, wstawia się je w garnku, w którym nic się przedtem nie gotowało, ani też naturalnie i później gotować nie będzie, nalewa wodą miękką i zagotowuje. Osobno, również w miękkiej wodzie, trzeba zagotować mydlniku za 7½ kop. Po zagotowaniu obojga, wylać po połowie każdego płynu na balią i rozpuścić wodą miękką zimną, tak, aby ta mięszanina była letnią. Suknię do prania przeznaczoną trzeba obejrzeć wprzód bacznie, wszystkie plamy ponamydlać, włożywszy na balią dobrze takowe pozacierać, a potem całą suknię miejsce koło miejsca doskonale wyprać. Gdy się płyn zabrudzi, odlać go, wlać drugą połowę i prać powtórnie. Po wypraniu wypłókać do drugiego razu w wodzie twardej i nie wyżymając wcale powiesić suknię by ociekła. Najlepiej prać suknię popprutą, gdyż wtedy można ją wymaglować, przez co nabiera lustru i wygląda jak całkiem nowa; niektórzy jednak piorą suknie nieprute i bez maglowania prasują na wilgotno na lewą stronę.

Gdy suknia czarna zburzeje, można ją podfarbować w domu zapomocą brezylii, której się kupuje za 15 kop., wygotowuje doskonale przez kilka godzin i odcedza. Suknię, wprzód upraną, rozkłada się na desce od prasowania lub jeszcze lepiej na jakiej innej, szerszej, i naciera się ją miejsce w miejsce szczotką miękką, w odwarze brezylii maczyną, a następnie wiesza się na sznurach, aby obciekła. Nazajutrz powtarza się toż samo, tylko się już suknia nie dosusza, ale na wilgotne prasuje na lewą stronę.

Sposób ten dobry jest do sukien zarówno ostrych jak sukiennych, do jedwabnych zastosować się nie da. Jeżeli się pierze lub farbuje kaftanik, mający pod spodem podszewkę, prasuje się go z prawéj strony ale przez kawałek płótna.

Suknie wełnłane kolorowe dadzą się prać także, ale tylko w samym mydlniku z dodatkiem sporej ilości mydła, które trzeba w listki pokrajać i z mydlikiem razem zagotować.

Wszystko pierze się na chłodno, gdyż pokurczyłoby się w przeciwnym razie.

— **Domowe sposoby prania rękawiczek** są dwa: w benzynie i w mydle. Pierwszy sposób jest bardzo pospieszny, kładzie się rękawiczkę na rękę macza się flanelę w benzynie i wyciera się nią jak najszybciej. Rękawiczka, wypiera się, wysycha na ręce i odrazu jest gotowa. Jestto jednak sposób nieco kosztowniejszy może. Do drugiego rodzaju prania mydło rozgotowuje się w miękkiej wodzie na gęsto, rękawiczka kładzie się na rękę, albo też rozkłada się płasko i równo na ręczniku lub innéj chuście, macza się kawałek flaneli w mydle i wyciera się rękawiczkę najprzód z jednéj, potem z drugiej strony, dopóki brud nie zejdzie. Następnie spłókuje się mydło letnią albo nawet zimną wodą, i wyciera rękawiczkę czystą chustą do sucha. Suszy się na powietrzu albo przy letnim piecu, a po wyschnięciu wyciąga na wszystkie strony, dla przywrócenia rękawiczce miękkości i właściwego koloru. Drugim mianowicie sposobem, można prać tylko jasne rękawiczki; pierwszym można prać i kolorowe, chociaż i pod benzyną kolor blednie i nie zawsze równo się upierze.

— **Sody do prania bielizny** nie należy pozwalać w zbytecznej dodawać ilości. O ile w małéj dozie soda pomocną jest w praniu, gdyż twardą nawet wodę może uczynić zdatną do użycia,—o tyle zbytek jéj jest szkodliwym,—a doświadczenie okazało, że bielizna w mocno przejętéj sodą wodzie pierana, dostaje najprzód małych czworgraniastych dziurek, a następnie cała się rozpada.

— **Rydze w maśle.** Rydze świeże kilka razy opłókać, pokrajać i włożyć do rondla z dobrem masłem, smażyć na węglach lub wolnym ogniu i posolić. Gdy sos puszcza pomarańczowy, wrzucić cebuli usiekanej drobno, grubéj pietruszki, selerów, po garstce, przykryć, niech się duszą na wolnym ogniu, potrząsając rondlem, aby się nie przypaliły. Skoro się wysadzą, wsypać nieco pieprzu i garść utartéj bułki, wymieszać, zagrzać i dać na stół.

Druk J. Noskowskiego, Mazowiecka Nr. 11. Дозволено Цензурою, Варшава 31 Октября (12 Ноября) 1875 г. Wydawca i Redaktor, **Bronisław Przyrembel.**

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

Amelią B. Edwards,

z angielskiego tłómaczona.

Tom drugi.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 58.)

Prawdę mówiąc, czyn jakim zdobył sobie tyle sławy, godził ją z zawodem wybranym przez niego. Żyjąc w zupełnem odosobnieniu, nie czytając dzienników, nie mając znajomości, w pierwszych chwilach nie umiała prawie ocenić całej odwagi tego czynu, ani znaczenia jakiego zawód ten mógł nabrać. Teraz zaś, widząc że świat w ogóle, a szczególnie ten ciasny, chciwy i egoistyczny świat handlowy, tak przez nią pogardzany, spoglądał na jej syna jak na bohatera, zdanie lady De Benham zmieniło się trochę. Doszła do tego, że przyznawała iż nawet w zawodzie handlowym można było dokonać wielkich i chwalebnych rzeczy, a co dziwniejsza, że te rzeczy umiano ocenić. Byłaby zapewne szczęśliwszą gdyby to wszystko było się stało w wojskowej marynarce a nie w kupieckiej, gdyby naprzykład syn jej w czasie wojny odebrał nieprzyjacielowi wojenny okręt. Taka sława byłaby bez skazy; ale nawet ta przyćmiona sława była przyjemną jej miłości dla syna.

Temple De Benham i kapitan Hay, pomimo chęci jaką mieli pozostania w ukryciu, nie mogli jednak nie przyjąć wielkiego obiadu wydanego na ich cześć przez pana Hardwicke.

Przypominamy sobie, że De Benham raz już został zaproszony przez pana Hardwicke, i że odmówił tego zaszczytu. Było to na samym początku ich stosunków, kiedy młody człowiek powracał z Petersburga, i pan Hardwicke chciał razem z nim zaprosić Arcybalda Blyth, pana Tymoteusza Knott i kilka osób z City.

Ale teraz stan rzeczy zupełnie się zmienił. Niczego nie chciano zaniedbać by uczcić bohatera tego dnia, bo, chociaż kapitan *Ptaka Burzy* miał mieć równy udział w tych hołdach, jednakowo Temple De Benham był w oczach wielu ludzi, a szczególniej w oczach pana Hardwicke, główną sprężyną wypadków jakich uroczystość chciano obchodzić. Po wielkim obiedzie, miał więc nastąpić nie mniej wielki wieczór; najbogatsze srebra miały być użytemi, sień, schody i salę jadalną polecono ubrać w najrzadsze kwiaty egzotyczne, a najsławniejszy z żyjących artystów grających na skrzypcach był zamówiony dla większej przyjemności gości.

— On cię naturalnie do stołu poprowadzi, Klaudyo, powiedział pan Hardwicke przy śniadaniu. Było to rano tego samego dnia w którym miał być obiad.

— Ale to niepodobna, powiedziała panna Hardwicke, — z całego towarzystwa, on najniższe zajmuje stanowisko.

— Tak jednak musi być, kiedy wszystko się odbywa na jego cześć. Przeczytaj każden opis obiadu ofiarowanego szczególnie jednej osobie, ta osoba, chociażby to był tylko korrespondent dziennika, zajmuje zawsze pierwsze miejsce.

— Choćby i tak było, pierwsze miejsce należało by się w takim razie kapitanowi. Ten młody człowiek jest tylko nadzorcą ładunku.

— Ten młody człowiek pierwszy podał myśl całej tej wyprawy i włożył mi do kieszeni przeszło czterykroć sto tysięcy funtów, powiedział z żywością p. Hardwicke. Temu młodemu człowiekowi nietylko zawdzięczamy śmiały plan, za pomocą którego okręt nie uległ skonfiskowaniu, ale walczył on także i został ranny w ciągu wykonania tego planu. Jeżeli więc kiedykolwiek człowiek może zasłużyć na pierwsze miejsce, niezawodnie młodemu De Benhamowi dziś ono się należy.

— Jak chcesz, powiedziała panna Hardwicke obojętnie. Będę bardzo szczęśliwą gdy się to wszystko skończy.

Trudna ta kwestya została tym sposobem załatwioną. Goście byli zaproszeni na wpół do dziewiątej; o kwadrans na dziewiątą zaczęli się zjeżdżać, a o trzy minuty przed wpół zajechał De Benham. Zastał już więc wszystkich zebranych, oczekiwanie doszło do najwyższego szczytu niecierpliwości, gdy ostatni, ale stający z największą akuratnością bohater, wszedł na salę.

P. Hardwicke poszedł do drzwi salonu żeby go przyjąć. Kapitan Hay od kwadransa już przybył, ale zmieszany obecnością tylu osób nieznajomych, którym musiał być przedstawiony, stał przeglądając ryciny znajdujące się w tece na stoliku, i ust prawie nie otworzył. Zawiedzenie było ogólne i naturalnie wszyscy spodziewali się, że nadzorca ładunku będzie równie nieśmiałym i nieświatowym; gdy jednak De Benham ukazał się, zdanie to zostało w tej chwili zmienione.

— Pan De Benham, moja siostra, powiedział pan Hardwicke, przedstawiając go.

De Benham nizko się ukłonił, panna Hardwicke podała mu koniec palców.

— Zdaje mi się że się już dawniej spotkaliśmy, powiedziała usiłując być uprzejmą.

De Benham skłonił się znowu.

— Nie zapomniałem że miałem już ten honor, powiedział uśmiechając się; ale uśmiech był dwuznaczny i czuć było nieco ironii w jego głosie.

P. Hardwicke zapoznał go ze swemi gośćmi; byli to lord Stockbridge, niezbędny kolonialny biskup, młodszy syn członka izby wyższej, będący urzędnikiem w jednem z ministerstw i którego życie upływało w ciągłych wysileniach dla utrzymania w prawem oku kawałeczka szkła; podstarzała hrabina okryta bryllantami i której płeć była arcydziełem sztuki; pułkownik wojska indyjskiego Calderon, dwóch czy trzech członków parlamentu, uczony prawnik, znany autor z ogromną brodą, w bardzo niedobrym humorze, bo nie był celem ogólnego zajęcia, i kilku innych gości, razem dwadzieścia dwie osób, a pomiędzy niemi nikt z City.

Dano znać do stołu i towarzystwo przeszło do sali jadalnej. Stół rzęsisto oświecony, uginał się pod ciężkiemi srebrami, rzadką porcelaną, kosztownemi kryształami, wazonami z kwiatami; kredensa nie mniej bogato były ustrojone.

— Przyzwoicie wygląda ten młody człowiek, powiedział lord Stockbridge do swego sąsiada gdy zupę rozdano.

Sąsiad, bankier, członek parlamentu, dyrektor kolei żelaznej, bajecznie bogaty, spojszał i odpowiedział:

— A, nadzorca ładunku, tak, bardzo.

— Był organistą temu dwa lata, w jakiejś dziurze w City i umierał tam z głodu, kiedy Hardwicke się nad nim zlitował i z największej wydobył go nędzy.

— Czy być może? powiedział bankier.

— Takie to życie! Od tego czasu sam zrobił majątek i podwoił majątek naszego ukochanego przyjaciela i gospodarza.

— Ja nigdy nie wierzę w te tak szybko uzbierane majątki, rzekł bankier.

— I ja, ale w ten muszę uwierzyć, bo wszystko co wiemy dowodzi tego, powiedział lord Stockbridge. Czytałeś pan naturalnie opis wyprawy *Ptaka Burzy*.

— *Ptaka Burzy*?... tak, czytałem. Nadzwyczajne! Ale to dobre wino.

— Doskonałe; Hardwicke zresztą ma tylko dobre wina.

Zaczęli więc mówić o sławnych winach i piwnicach, o koniach, o przeszłych i przyszłych wyścigach, zapomniawszy o De Benhamie i jego przygodach.

Drudzy jednak więcej się nim zajmowali. Sąsiadki pana Hardwicke obsypywały go pytaniami, a dama siedząca przy kapitanie Hay, młoda i ładna ale okrutnych skłonności kobieta, okryta gazą i tarlatanem, nie dawała pokoju szanownemu marynarzowi.

— Ale czy to prawda, spytała, że sam swoją ręką zabił trzech Amerykanów?

— Jestto największe kłamstwo jakie kiedy wymyślono, odpowiedział po prostu kapitan.

— Jakto, nieprawda! zawołała. Więc z pewnością nikogo nie zabił?

— Nie, pani.

— A pan nikogo nie zabiłeś?

— Nikogo, Bogu dzięki.

— Więc to wszystko zmyślone! a to prawdziwy zawód. Ale był rannym, w każdym razie, wszystkie gazety o tem donosiły.

— Tak, został pchnięty nożem w bok i przez dwa tygodnie leżał w malignie.

— W malignie! powtórzyła pani w tarlatanowej sukni z widoczną przyjemnością. Ale to okropne!

I długo za pomocą lornetki przypatrywała się De Benhamowi.

Tymczasem biskup i osoby bliżej siedzące zmuszały De Benhama, nie mającego do tego najmniejszej ochoty, aby im opowiadał przygody towarzyszące odebraniu *Ptaka Burzy*.

— Nie mam nic dodać, mówił, do tego co dzienniki opisały. Mniej nawet wiem szczegółów od innych, bo byłem chory i leżałem podczas ostatnich dni naszej podróży.

— Gdyby zamiar nie był się powiódł, pańskie położenie nie byłoby bardzo przyjemnem, powiedział jeden z gości. Trybunały amerykańskie byłyby się starały uczynić z tego rozbój na morzu.

— Nie jestem wcale dotąd pewny czy się tego występku nie dopuściłem, powiedział De Benham.

— Nie potrzebujesz się pan o to niepokoić, według mego zdania, rzekła druga osoba. Blokada jest o tyle tylko prawną, o ile może być utrzymaną za pomocą siły zbrojnej; odebranie waszego okrętu byłoby więc tylko rozbojem morskim, gdyby się nie udało. Jestto jeden z tych wypadków, gdzie powodzenie wszystko usprawiedliwia.

— W każdym razie, powiedział De Benham, nie czuję żadnej ochoty długo się nad tym przedmiotem zastanawiać.

— Co się stało z Amerykanami, których tak podeszliście? zapytał autor z brodą. Jeden z dzienników doniósł że wszyscy zostali potopieni, ale musi to być zapewne przesadzonem.

— Zostawiliśmy ich w Fayal własnemu przemysłowi; do tego czasu spodziewam się, że jaki okręt zabrał ich i szczęśliwie zawiózł do domu.

— Czy jesteś zdania, panie De Benham, zapytał biskup, że wojna na nowo się zacznie na wiosnę?

— Jestem tego zdania że się na nowo rozpocznie, i że potrwa dopóty, dopóki będzie na Południu łut ołowiu, a na Północy jeden dollar, odpowiedział De Benham.

— Przyjemna wróżba dla posiadaczy papierów amerykańskich, zauważył bankier.

Lord Stockbridge się roześmiał.

— Oto korzyść, powiedział, być ubogim hołyszem jak ja. Nigdy stan targu pieniężnego nie sprawi mi niespokojności.

Panna Hardwicke siedząca na pierwszym miejscu u stołu, i zaledwie czasami otwierająca usta, słyszała wszystkie te rozmowy; na te słowa lorda Stockbridge, coś podobnego do uśmiechu okazało się na jej ustach. Niedługo potem, gdy już wety rozniesiono, dała znak, panie się ruszyły, pozbierały rękawiczki, wachlarze, chustki od nosa, pan Hardwicke drzwi otworzył i panowie zostali sami.

Kilka rozmów zaraz się zawiązało, gdy butelki zaczęły swobodniej krążyć. Członkowie parlamentu mówili o polityce, prawnicy o zajmującej sprawie wytoczonej właśnie przed sądami, lord Stockbridge i bankier zawsze wyścigami zajęci, wydobyli pugilaresy i zaczęli porównywać swoje zakłady; młody urzędnik przy jednem z ministerstw z drugim młodzieńcem swego wieku, utyskiwali nad upadkiem baletu; autor wszystkiemu się przysłuchiwał zapijając wino w ponurem milczeniu; a biskup, okazując prawdziwą znajomość rzeczy i wykształcenie, prawił dalej o wojnie amerykańskiej.

Zdanie ogółu w Anglii w owym czasie, szczególniej między wyższemi klassami mającemi żywe sympatye dla sprawy Południa, jednozgodnie brzmiało, że jakkolwiek krwawą i długą będzie walka, skonfederowani nakoniec zwyciężą. De Benham tak się różnił od innych co do tego zdania, że się zwykle starał unikać tej rozmowy; tego wieczora jednak nie mógł tego uczynić, gdyż to był przedmiot o którym ogólnie życzono sobie aby mówił.

— Wiem z dobrego źródła, powiedział pułkownik Calderon, że zaledwie trzecia część żołnierzy w federalnych pułkach jest złożona z prawdziwych Amerykanów, i że ich wojsko, werbowane w najbiedniejszych dzielnicach Nowego Yorku i Bostonu, składa się po większej części z Anglików, Irlandczyków, Niemców. Jeżeli tak jest, czyż zwycięztwo nie należy się tym którzy znają i kochają sprawę za którą walczą?

De Benham potrząsł głową.

— Siła Północy właśnie w tem leży, że może do nieskończoności pomnażać swe wojsko, powiedział. Z drugiej strony ludność na Południu składa się głównie z właścicieli, z niezależnej średniej klassy i z niewolników; tym sposobem w wielu pułkach skonfederowanych, każdy żołnierz jest obywatelem; ja sam widziałem w Charleston oddział z tysiąca ludzi złożony i zebrany z właścicieli ziemskich i z wykształconych ludzi. Jeżeli nieprzyjaciel posiada pieniądze i wytrwałość i opiera się na licznej niższej klassie, los kraju tak bronionego jest nieuniknionym. Obywatele żołnierze muszą nareszcie, pomimo swej waleczności, ulegać przed potęgą liczby; po trochu polegną, a nie będzie innych żeby ich zastąpić.

— Jestto więc po prostu kwestyą czasu, zauważył biskup.

Lord Stockbridge schował pugilares i wmięszał się także do rozmowy.

— Według mnie, powiedział, jeden człowiek dobrze wychowany wart jest tyle co dwudziestu płatnych najemników.

— Ale nie tyle co pięć set. Zresztą nie można nazwać żołnierzy z Północy płatnemi najemnikami, są to emigranci już naturalizowani.

Zaczęto mówić o pierwotnem zaludnieniu Stanów Zjednoczonych, i De Benham opowiedział, że w Mobile i w Charleston spotkał rodziny zachowujące do dziś dnia, bez żadnej zmiany, nazwiska dawnych angielskich lub francuzkich osadników.

— Uważałem też, powiedział p. Hardwicke, że zmieniłeś od niejakiego czasu sposób pisania twego nazwiska, panie De Benham.

— Rozdzieliłem go, ale ani jednej litery nie zmieniłem, odrzcił De Benham.

— Jestto zmiana nadająca nazwisku powierzchowność normandzką, powiedział p. Hardwicke.

— Nazwisko moje jest rzeczywiście normandzkiem, odpowiedział De Benham, przywróciłem tylko dawny sposób pisania.

Lord Stockbridge, sięgając po butelkę podniósł oczy.

— Czy chcesz zmienić nazwisko, panie De Benham, spytał. Tyle osób zmienia teraz nazwisko, jestto prawdziwa moda.

De Benham wahał się. Obrót jaki przybrała rozmowa był mu niemiłym i chętnie byłby ją na inny przedmiot odwrócił. Tymczasem p. Hardwicke za niego odpowiedział.

— P. De Benham właśnie mi tłomaczył że nie zmienił nazwiska, ale tylko dawny sposób pisania go przywrócił. Pisze się teraz De Benham.

Lord Stockbridge powtórzył nazwisko.

— De Benham! powiedział; była tylko jedna rodzina De Benhamów, a ta wygasła.

Słowa te były dosyć niegrzeczne, a sposób w jaki je powiedział, jeszcze mniej był grzecznym. De Benham spuścił oczy milczący i niezadowolony, p. Hardwicke pokrywając milczenie uśmiechem powiedział:

— Zapewne nie, mylordzie, kiedy widzimy tu, że nazwisko to jeszcze istnieje.

— Ale jest niepodobieństwem żeby jeszcze istniało, powiedział upierając się lord Stockbridge; znałem ostatniego lorda De Benham, znałem go dobrze i był ostatnim swego rodu i imienia.

Milczenie teraz panowało w sali jadalnej; wszyscy słuchali ale De Benham ciągle milczał.

P. Hardwicke powiedział iż w tem wszystkiem musiała zajść jakaś pomyłka i chciał zmienić rozmowę.

Lord Stockbridge rozśmiał się szyderczo i nieprzyjemnie i wzruszył ramionami.

— Jest jakaś pomyłka, powiedział, ale nie z mojej strony. Znałem De Benhama z Benhampton, równie dobrze jak ciebie znam Hardwicku, a może i lepiej, ale bynajmniej nie na jego korzyść, wszystko stracił jeszcze kiedy małoletnim był i umarł jak pies gdzieś za granicą.

De Benham powstał blady i głosem drżącym od gniewu powiedział:

— Muszę prosić lorda Stockbridge żeby słowa te odwołał, i o moim ojcu tak się nie wyrażał.

Zuchwały uśmiech igrający na ustach lorda Stockbridge, znikł w tej chwili. De Benham patrząc na niego niewzruszenie, ciągnął dalej:

— Mój ojciec był człowiekiem honorowym. Zapłacił długi resztkami majątku, umarł w małej karczemce koło Capel Carig w Północnej Walii i został pochowany w grobach kościelnych w Benhampton, pomiędzy swemi przodkami.

Lord Stockbridge zaczerwienił się i zmięszany wyjąkał:

— Czy to być może?

— Proste fakta wyjawiłem, powiedział De Benham.

— Nigdy podobnego zdziwienia nie doznałem w życiu, nigdy! De Benham ożeniony, tytuł i imie jeszcze istnieją! zaledwie mogę temu uwierzyć.

Zatrzymał się i głębokie milczenie znowu panowało. De Benham stał ciągle patrząc na niego.

Lord Stockbridge czując że się czegoś więcej od niego spodziewano, odzyskał zimną krew, powstał i poszedł na drugą stronę stołu.

— Jeżeli jesteś synem De Benhama z Benhampton, najmocniej pana przepraszam. Nie chciałem bynajmniej powiedzieć żeby twój ojciec w sposób niehonorowy stracił majątek; jeżeli ci się zdawało że taką była myśl moja, bardzo tego żałuję. Sam byłem utracyuszem w owym czasie, i nie wiem czy mnie wiek poprawił; ale twój ojciec był człowiekiem szlachetnym, serce i ręka były zarówno otwarte u niego. Mylordzie De Benham, spodziewam się że mi zrobisz zaszczyt podając mi rękę.

De Benham się ukłonił, ścisnęli się za rękę i każdy powrócił na swoje miejsce.

Jestto wielki dar umieć się zgrabnie wytłomaczyć. Lord Stockbridge tak łatwo i z taką szczerością wymówił te słowa, że zarobił sobie na najlepsze zdanie u wszystkich obecnych.

— Stockbridge, mówił jeden z gości w kilka dni później, gdy słyszał jak się o nim niepochlebnie wyrażano, jestto człowiek szczery, uczciwy, niewątpliwie pełen honoru. Nie wierzcie temu co na niego mówią.

I ze wszystkich osób znajdujących się na obiedzie u pana Hardwicke, nie byłoby ani jednej, któraby nie była gotową potwierdzić tego zdania.

ROZDZIAŁ XII.

W bibliotece.

Gdy panowie poszli na górę, salony zaczynały się już napełniać gośćmi. P. Hardwicke poszedł do siostry i opowiedział jej o odkryciu uczynionem w jadalnej sali.

— Jest lordem! powiedziała niedowierzająco panna Hardwicke.

— Tak, lordem, z pewnością lordem. Mówiono mi że jego tytuł jest jednym z najstarożytniejszych w Anglii, a oprócz tego ma jakiś drugi zagraniczny tytuł, nie wiem dobrze jaki. Kiedy pomyślę że był z tem wszystkiem nadzorcą ładunku i agentem zagranicznym u mnie, wydaje mi się to rozdziałem wyjętym z powieści.

— Dla czego tak długo to ukrywał? zapytała panna Hardwicke.

— Dla tego że był ubogim; ojciec jego utracił cały majątek i ten młody człowiek musiał pracować na życie.

— W każdym razie nie jest już teraz ubogim, powiedziała panna Hardwicke. Mówiłeś zdaje mi się, że zarobił teraz sześćdziesiąt tysięcy funtów.

— Tak; ale nie jest to wielki majątek dla człowieka na jego stanowisku. Wystaw sobie że był naszym organistą u św. Hildegardy!

Panna Hardwicke spojrzała z zajęciem na De Benhama znajdującego się na drugim końcu pokoju.

(D. c. n.)

Druk J. Noskowskiego Mazowiecka Nr. 11.

Дозволено Цензурою, Варшава 30 Октября (11 Ноября) 1875 г.